

Andrzej Mencwel

KULTURA CHŁOPSKA: KRES, KONIEC, PRÓG?*

Kres kultury chłopskiej, jedyny osobny esej autora całej serii powieści esejistycznie nasyconych, Wiesław Myśliwski wygłosił był w klubie inteligencji, z pochodzenia głównie wiejskiej, z lokacji natomiast wyłącznie miejskiej. Klub ten dla niepoznaki mianowano Salonem Polskim, chociaż powinien nazywać się świetlicą gminną. Gdyby nie to, że esej ten wysoko przerastał okoliczności tamtej prezentacji, można by im poświęcić więcej zgryźliwej uwagi, ponieważ nie tylko nazwa klubu była myląca, ale i prawie wszyscy jego członkowie kogoś udawali, mimo że pisarz był zwyczajnie sobą. Nie trzeba się więc dziwić, że choć tytułowe oznajmienie było kardynalne dla rozumienia przeszłości i przyszłości kultury polskiej, tekst eseju zaś dobitnie je uzasadniał, nie wywiązała się wtedy żadna poważna rozmowa, która ponad pozory salonu by się wzniosła. Może i ja też coś tam rzekłem, czego nie pomnę, zrozumiałem bowiem z tego eseju tyle, ile wszyscy zebrani – że mianowicie jest świetny i już. *Kres kultury chłopskiej* był potem parokrotnie publikowany, najpierw w postaci bibliofilskiej broszurki, wydanej przez Prowincjonalną (jakżeby inaczej) Oficynę Wydawniczą, którą z odręcznymi poprawkami autora posiadam i z niej teraz korzystam¹. Potem jeszcze dwukrotnie, jeśli dobrze zanotowałem, rzecz opublikowano w prasie periodycznej i codziennej, a do dzisiaj jej adaptacje lub fragmenty można napotkać w internecie. Należyta dyskusja jednak, jak nie odbyła się na tamtym pierwszym spotkaniu, tak i nie ma jej dotąd.

Nie mogę powiedzieć, że napisałem *Toast na progu*, aby dyskusję tę wreszcie podjąć, ponieważ esej ten powstał z podniety osobistej, wprost wypowiedzianej. Jednak w miarę rozwoju mojej opowieści, przekraczającej znacznie założone początkowo rozmiary, uświadamiałem sobie, że podążam tropem *Kresu kultury chłopskiej*, chociaż celowo nie czytałem go ponownie. Zamierzałem przecież pożegnać zmarłego przedwcześnie przyjaciela, który był w moim odczuciu i pojęciu chłopem okazowym; pisząc o nim, rozumiałem jednak coraz lepiej, że wraz z nim odeszła cała, zapewne ostatnia, generacja chłopów polskich,

* Tekst jest fragmentem końcowym książki *Toast na progu* (s. 273–299), zatytułowanym *Postowie. Kultura chłopska: kres, koniec, próg?*, wydanej w 2017 r. przez Wydawnictwo Literackie. Tekst drukujemy za zgodą Autora i Wydawnictwa, zachowując jego oryginalną redakcję (przyp. red. nauk.).

¹ Wiesław Myśliwski, *Kres kultury chłopskiej*, Prowincjonalna Oficyna Wydawnicza, Bochnia 2003.

których jako takich chciałem upamiętnić. Mimowiednie początkowo, a potem coraz bardziej rozmyślnie, pisałem więc już nie o „kresie”, lecz o „końcu” kultury chłopskiej. Słownikowo oba te rzeczowniki uchodzą za synonimy, ich zakresy znaczeniowe częściowo się pokrywając, trochę jednak są różne: „kresu” się dosięga, a „koniec” się osiąga. „Koniec” zostaje więc ostatecznie dokonany, gdy „kres” coś jeszcze przed sobą pozostawia. Niezależnie jednak od tej znikomej, lecz znamiennej różnicy myślałem i pisałem o tej samej kulturze chłopskiej co Wiesław Myśliwski w swoim eseju oraz w niezrównanym cyklu powieściowym – *Kamień na kamieniu* (1984), *Widnokrąg* (1996), *Traktat o łuskaniu fasoli* (2006) – w którym groby, grobowce i cmentarze zostały intencjonalnie nacechowane, bo w ich aurze o kulturze chłopskiej myśli się nieuchronnie. Ale dopiero pod koniec swojej opowieści zrozumiałem, że znaleźliśmy się nie na cmentarzu, lecz na dziejowym progu.

Kulturę chłopską pojmujemy podobnie – nie „kulturalnie”, czyli częściowo albo selektywnie – jako pewien repertuar czynności i wytworów artystycznych: stroje odświętne, pieśni i tańce, naczynia, hafty, zdobienia, które można osobno podziwiać, wystawiać i kolekcjonować, lecz „kulturowo”, zatem całościowo, jako swoisty i kompletny sposób istnienia człowieka pośród ludzi i na tej ziemi. Ujęcie to tym bardziej jest uzasadnione, że kultura chłopska była całością, zarówno w istocie, jak i we wszelkich swoich przejawach – gospodarczych i religijnych, społecznych i symbolicznych, fizycznych i filozoficznych. Co więcej – posiadała swój widomy korelat materialny, którym było samodzielne, uniwersalne gospodarstwo rolne, uprawiane przez wielopokoleniową rodzinę patriarchalną. Odwieczny właściwie krajobraz polskiej wsi to specyficzny układ takich gospodarstw (ulicówka, okolnica, kolonia) z ich prostokątnym przeważnie siedliskiem i stosownymi na nim zabudowaniami (chałupa, stodoła, obora, chlew). A choć nadal jest on widoczny w tym krajobrazie, to zatracił już swoją funkcjonalność, gdyż tradycyjne, rodzinne gospodarstwa rolne zostały się jedynie jako rezerваты starej biedy lub nowej agroturystyki. Jakkolwiek sporne są wszelkie uogólnienia dotyczące wielkich procesów społecznych, jedno wydaje się niezaprzeczalne – uniwersalne gospodarstwo rodzinne przestało być dominantą w naszym rolnictwie, co oznacza, że sięgnęliśmy również k r e s u k u l t u r y c h ł o p s k i e j, ponieważ było ono jego matecznikiem i ostoją. Czy k r e s ten jest tożsamy z k o ń c e m, potwierdzonym przez nie tak dawno jeszcze kwitnące, potem zamarte, a teraz całkiem już martwe gospodarstwo mojego nieżyjącego przyjaciela, właśnie się zastanawiam. Przyswajając przymiotnik, którego mnie nauczył: „progowy”.

Zanim klarowny, mam nadzieję, wynik tego namysłu przedstawię, muszę ustalić znaczenia podstawowe, żeby wiedzieć, o czym właściwie mówimy. Kulturę, jak już podkreśliłem, pojmujemy antropologicznie, a nie artystycznie, do tego pierwszego pojęcia odsyła w języku polskim przymiotnik „kulturowy”, do drugiego – „kulturalny”. Powtarzam to dość szkolarsko dlatego, że w powszechnym użytku medialnym znaczenia obu tych przymiotników są notorycznie mylone. Rozmyślam tutaj o tajemnicy istnienia ogromnej rzeszy ludzi w łańcuchu wielu pokoleń, a nie o tym, czy nadokienniki kurpiowskich chałup są estetycznie wyszukane, chociaż ich piękno nie jest mi obojętne. Wyjaśniam też, że nie „kultura wiejska”, lecz *k u l t u r a c h ł o p s k a* jest przedmiotem tej próby i nie należy mylić jednej z drugą. Kultura wiejska, dominująca zresztą w Polsce przez tysiąclecie nieomal – ponieważ dopiero pod koniec dziewiętnastego stulecia miasta stają się sceną naszych dziejów – była głównie kulturą – ziemiańską, wzniesioną ponad kulturą chłopską, tak „panowie” byli wyniesieni ponad „chamów”. Problematyka wzajemnych relacji obu tych typów czy wzorów kultury jest tak rozległa i złożona, jak całe właściwie dzieje polskie, nie została jednak dotychczas syntetycznie rozpracowana i wnoszę do niej kolejny przyczynek.

Kultura szlachecko-ziemiańska natomiast opracowań ma wiele, wśród nich także znakomite; powtarzalnym ich ograniczeniem jest jednak to, że zbyt pobieżnie traktują jej relację z kulturą chłopską, tak jakby owo wyniesienie jednej nad drugą było humanistycznie obojętne. Ograniczenie to niekiedy tłumaczy się słabością źródeł dotyczących kultury chłopskiej, bo też rzeczywiście są one nieliczne, ułomne, nierzadko społecznie represjonowane, jak owa przestawna *Liber chamorum*². Jeśli jednak do niedawna za wyłączone nieomal źródła historyczne uchodziły teksty pisane, to obecnie repertuar źródeł został niebywale rozszerzony, a techniki ich „czytania” cudownie nieomal rozwinięte – „czytamy” więc nie tylko roczniki czy akty prawne, ale także mity i legendy, podziały przestrzenne i systemy krewniacze, narzędzia robocze i ornamenty odświętne, sposoby odżywiania i miejsca wydalania. Wydawałoby się więc, że wszystko to powinno sprzyjać przekraczaniu tradycyjnych ograniczeń historiograficznych i odślaniać dzieje tych, którzy byli dotąd zakryci przez uprzywilejowanych, nie tylko pozycją społeczną, lecz także monopolizacją pisma, czyli, w konsekwencji – dokumentacją historyczną. Na wielu obszarach historii powszechnej odślanianie to się dokonuje i można powiedzieć, że pracujemy

² Zob. Walerian Nekanda Trepka, *Liber generationis plebeanorum* („*Liber chamorum*”), Wrocław 1995; Janusz Tazbir, *Lustracja po staropolsku*, w: tegoż autora, *Silva rerum historicarum*, Warszawa 2002, s. 90–95.

w epoce wszechstronnego poznania historycznego, niestety historiografia polska pozostaje na jej uboczu. Jednym ze świadectw jest to, że nie mamy dotąd porządnego opracowania dziejów piśmienności w Polsce, a jest to kwestia dla badań historycznych kluczowa – społeczne zasięgi piśmienności determinowały przecież społeczną produktywność źródeł pisanych. Podobnie zresztą jak malowanych – w albumie *Polaków portret własny*, dokumentującym głośną niegdyś wystawę, uchodzącą za monument polskości, na 206 reprodukcji dzieł plastycznych do końca XVIII wieku tylko jedna przedstawia wizerunek chłopa, bo akurat był „poetą ludowym”, zapewne przez „państwa” uznanym³. Wszystkie pozostałe obrazy – to monarchowie, magnaci, szlachcice ze swoimi małżonkami i progeniturą oraz duchowieństwo wyższe, czyli purpuraci, ze szlachty się wywodzący. Miażdżąca przewaga – aż się nie chce wierzyć, że taka mogła być rzeczywistość.

Kultura szlachecka o tyle mnie tutaj zajmuje, że podobnie jak kultura chłopska posiadała swój widomy korelat materialny, mianowicie ziemiański folwark rolny, razem z nieodłącznym „pańskim” dworem, co legendowo „walczy mężnie i strzeże wiernie”. Folwark, przypominam, było to wielkie zwykle gospodarstwo rolne, produkujące na rynek wewnętrzny i zewnętrzny, oparte na przymusowej, darmowej pracy poddanych chłopów. Jego wczesne formy zawiązują się w średniowieczu, rozkwit następuje w wiekach XV i XVI, kryzys zaczyna się w XVII, próby naprawy pojawiają się w drugiej połowie wieku XVIII. Minione dwa stulecia są czasem schyłku folwarku ziemiańskiego, ostateczny zaś jego koniec jest skutkiem powojennej reformy rolnej. Rzecz jasna nie jest to historia tej formy gospodarczej, a jedynie jej schemat ogólny, który i tak mówi nam, że narodziny, wzrost, schyłek i koniec folwarku są zasadniczo współbieżne z początkami, rozkwitem i zmierzchem kultury szlacheckiej.

Chłopskie rodzinne gospodarstwo rolne jest starsze od dóbr ziemiańskich, choć w gospodarce naszej nigdy nie dominowało. Pospolici wolni, czyli chłopci posiadający ziemską o j c o w i z n ę, mieszkali na tej ziemi jeszcze przed organizacją państwa, a zaczęli być zniewaleni przez wspierającą monarchię warstwę rycerską⁴. Przetrwali potem jako k m i e c i e setki lat, coraz bardziej ograniczani w swoich prawach i dobrach, zmagali się z narastającą aż do niewolnictwa pańszczyzną, w dziewiętnastym stuleciu doczekali się wreszcie uwłaszczeń, aby w minionym wieku osiągnąć swoje, parę razy przerywane, apogeum.

³ *Polaków portret własny*. Praca zbiorowa pod redakcją Marka Rostworowskiego. Część I, *Ilustracje*, Warszawa 1983, ilustracja nr 207.

⁴ Por. Roch Sulima, *Rzeczy i symbole, czyli o narodzinach klasy chłopskiej i jej etosu*, w: tegoż autora, *Słowo i etos*, Kraków 1992, s. 5–22.

Historyczny koniec tradycyjnego chłopskiego gospodarstwa rolnego nie ma tak wyraźnej daty granicznej, jak lata 1944–1945 dla folwarku ziemiańskiego, ale możemy przyjąć, bez ryzyka grubej pomyłki, że wskazuje ją rok 2004, w którym Polska staje się zwyczajnym członkiem Unii Europejskiej, co niewątpliwie przyspiesza rozpoczętą wcześniej „transformację”, skutkującą również przemianą form gospodarczych na wsi. To znowuż jest schematyczny plan ogólny, który od historyka wymaga niezliczonych konkretyzacji i specyfikacji dotyczących na przykład czasu, kształtu i skutków uwłaszczeń w trzech zaborach, lub kolektywizacji rolnictwa w okresie stalinizmu i odstąpienia od niego po Październiku 1956. Świadomy ułomności tego schematu, wspieram się jednak na nim dla wyłuszczenia zagadnienia jeszcze bardziej ogólnego. Ujmuję je w dwóch pytaniach współbieżnych – jeśli folwark ziemiański, będący materialnym korelatem kultury szlacheckiej, znika najpóźniej przed połową zeszłego wieku, a dogasa co najmniej przez całe poprzedzające tamtą datę stulecie (po 1864), to czy wraz z nim znika również kultura szlachecka, czy też pozostaje nadal nie tylko składnikiem, ale i dominantą współczesnej kultury polskiej? I analogicznie w odniesieniu do kultury chłopskiej – jeśli od kilku dekad zanika tradycyjne chłopskie gospodarstwo rolne, to czy wraz z tym zanikiem osiąga swego k r e s u, albo, co gorsza, osiąga k o n i e c kultura chłopska? A może przekracza ona dziejowy p r ó g, na którym dokonuje się jej przeistoczenie i rozstrzyga nowa relacja do kultury narodowej? Jest przecież nie tylko wyobraźalnie możliwe, że to kultura chłopska staje się jej dominantą.

Aby odpowiedzieć na pytania tak fundamentalne, trzeba znowu uściślić, o czym właściwie mówimy. Pytania są fundamentalne, ponieważ dotyczą samych podstaw istnienia wielkiej formacji kulturowej – którą nazywamy chłopską, wyodrębnionej społecznie spośród takich konglomeratów, jak kultura ludowa czy folklor. Podobnie więc jak nie mówimy tutaj o kulturze wiejskiej, tak i nie mówimy o kulturze ludowej – z racji opisowych i wartościujących. Z tych pierwszych racji dlatego, że kultura ludowa obejmuje zjawiska szersze i mniej społecznie wyraźne, wiązane zazwyczaj przez badaczy z warstwami „niższymi”, utożsamianymi często z chłopami, ze względu na specyficzną ich w dziejach Polski „przewagę”, ale powinna również obejmować kulturę robotniczą, rzemieślniczą, a w Rzeczypospolitej szlacheckiej – mieszczańską. Nadużywane nieskończone pojęcie „ludu”, rzekomy społeczny substrat „kultury ludowej” związane z dwoma orzeczeniami wartościującymi, które z góry oddalam. Pierwsze można nazwać klasycyzującym, ponieważ zakłada, że wszelkie kultury warstw „niższych” są pochodną, popularyzacją, jeśli nie degradacją kultur „wysokich”, tworzonych przez klasy panujące utożsamiane

z „kulturalnymi”. Drugie zaś jest romantyzujące, z wartościowaniem przeciwnym – kulturę ludową uznaje za samorodną i źródłową dla innych kultur społecznych, co inspirowało arcydzieła poetyckie i muzyczne, ale wyradza się też w estetyzującą „ludomanię”, aż do „ludowości na sprzedaż”. Krytycznie również odnośnie do pojęcia „folkloru”, uznawanego dawniej za synonim „kultury ludowej”, więc chłopskiej, lecz współcześnie niepomiarowo rozszerzonego w zakresie społecznym, znaczeniowo natomiast – zawężonego. Mówi się więc i pisze dzisiaj o folklorze podmiejskim, studenckim, więziennym, żeglarskim i tym podobnie, a zarazem pojęcie to nie obejmuje kultury w antropologicznej całości, lecz tylko w szczególnych, przeważnie komunikacyjnych jej znamionach. Przykładem naocznym i słyszalnym – folklor kibiców piłkarskich, ze swoją symboliką wizualną i akustyką oralną. Jeśli więc nie idzie o folklor, to tym bardziej nie o folklorizm, ponieważ nie poruszają mnie żadne stylizacje, nawet jeśli mi się ulotnie spodobają, jak polonez Mazowsza w *Panu Tadeuszu* Andrzeja Wajdy.

Zajmuje mnie natomiast i przejmuję kultura chłopska w swojej antropologicznej istocie, starsza niż państwo polskie i urządzająca je szlachta, współcześnie zaś, od kilku przynajmniej dekad, podlegająca dysparycji, aż do swego k r e s u czy też k o ń c a. Uważam, podobnie jak Wiesław Myśliwski w przywołanym eseju, że była to kultura całościowa, samodzielna i autentyczna, nasycona sensami i pełnodźwięczna w wygłosie. Jest oczywiste, że nie była ona ekskluzywna i autarkiczna, lecz podlegała różnym wpływom, interakcjom i naciskom, bo też chłopi, mimo że zostali w szczególnie sposób odseparowani od klasy panującej i grup sąsiednich, pozostawali w odwiecznych i złożonych z nimi relacjach. To, że współcześnie, również na wsi, nie mówimy do siebie tradycyjnie przez wy, lecz zwracamy się per pani i pan, nie oznacza bynajmniej, że kultura chłopska stała się kalką kultury szlacheckiej. Żydowski pierwotnie kugel, odpowiednio przeinaczony, stanowi z kolei specjalność domową kuchni kurpiowskiej, co można uznać za metonimię całej tej problematyki. Ale nafaszerowany wieprzowiną kugel nie starczy za cały jadłospis chłopskiej kuchni, podobnie jak żadna wyniosła honoryfikacja nie wyczerpuje całości stosunków międzyludzkich. Nawet jeśli dzisiejszym politykom, garniturowo skrojonym, lecz emocjonalnie karczemnym, może się tak wydawać.

Wracając do rzeczy samej, czyli antropologii kultury chłopskiej, zaznaczam, że poglądy autora *Kresu kultury chłopskiej* i moje, różniąc się zakresami, nie są ze sobą sprzeczne. Myśliwski mocniej akcentuje to, co nazywa „przeustrzeżeniem metafizyczną kultury chłopskiej”, ja wyraźniej kreślę jej oryginalność fizyczną. Słowem – twórcę *Widnokregu* pociągają przede wszystkim idealne

znamiona tej kultury, mnie bardziej angażują jej cechy materialne. Nie wynika z tego bynajmniej, że zamierzam wznawiać komiczną „walkę materializmu z idealizmem”, chcę natomiast osiągnąć ujęcie dopełnione. Kiedy podkreślam, że realnym skupiskiem kultury chłopskiej było samodzielne, wszechstronne, rodzinne gospodarstwo rolne, to myślę zarówno o jego cechach ekonomicznych, jak i międzyludzkich – społecznych, komunikacyjnych, symbolicznych. W dawnych żniwach, w których dane mi było jeszcze brać udział, wszystkie one były tak splecione, że ich rozdzielanie mogło być tylko zabiegiem konceptualnym. Zapewne cechy ekonomiczne u mnie przeważają, bo mam ciągle w oczach zawarte na głucho wierzeje bliskiej mi zagrody, ale boleśnie przecież pamiętam jej ostatniego gospodarza, którego życie było wcieleniem chłopskiego losu. Tak! – mój Zbyszek był bardzo samotny w zwykłym, międzyludzkim znaczeniu tego słowa, ale był też metafizycznie samotny w dostrzegalnym i wyobraźalnym wszechświecie nie tylko wtedy, kiedy patrzył w niebo, aby rozpoznać pogodę. Wiedział bowiem prawdziwie, że wobec kapryśnej mocy bezkresnej przyrody, dla pomyślności i bezpieczeństwa tej ludzkiej przystani, którą sprawiał, ma tylko własne doświadczenie i osobistą odpowiedzialność. Mógłby powiedzieć o sobie, jak mistyczny wschodni poeta: „Ja i Bóg jesteśmy sami nocy tej”.

Wspañiała ta fraza nie zwodzi mnie jednak ku orientalizacji religijności chłopskiej lub też mieszania jej z popularnym dzisiaj, synkretycznym pośladem. Polska religijność chłopska jest oczywiście chrześcijańska, w zdecydowanej przewadze rzymskokatolicka, zazwyczaj też opisywana jako narodowa, zbiorowa, rytualna i sensualna. „Polak-katolik” to formacja kulturowa umocniona i upowszechniona przeciw antypolskiej i antykatolickiej presji dwóch zaborców (Rosji i Prus), o wcześniejszym jednak, siedemnastowiecznym, kontrreformacyjnym i szlacheckim rodowodzie. Kolektywizm i rytualizm jako przeciwieństwa indywidualizmu oraz mistycyzmu religijnego są również barokowo-sarmackie, a nie swoiście chłopskie, choć jako takie bywają często opisywane. „Katolicyzm ludowy”, bezmyślnie utożsamiany z chłopskim jak kultura chłopska z „ludową”, miałby być wyznaniem etniczno-narodowym, charakteryzować się pokazową obrzędowością i masowym uczestnictwem kultowym (pielgrzymki, jubileusze, święta liturgiczne) oraz pozostawać magiczny, gdyż pełen zmysłowych, cudownych oznak. Taki pozornie historyczny konstrukt przeciwstawiano nierzadko katolicyzmowi uniwersalistycznemu, indywidualnemu, intelektualnemu. Przy czym ten pierwszy model wyznania, choć popularny, miałby być ekskluzywny i „zamknięty”, ten drugi natomiast inkluzywny i „otwarty”, jednak elitarny. Identyczne przeciwieństwo kietkowało już na początku ubiegłego wieku, ożywione zostało w latach międzywojennych,

aktualizowano je często, z powodów politycznych i kulturalnych, podczas półwiecza powojennego i w ostatnich dekadach. Nie dyskutuję nad jego zasadnością, bo trzeba by sporządzić osobny indeks sprostowań, notuję tylko, że Jan Paweł II opozycję taką niewątpliwie przekraczał, jego pielgrzymki do ojczyzny były zapewne najbardziej kolektywistyczne w naszych dziejach, a rozgrywały się głównie w przestrzeniach wielkich miast.

Przeciwstawienie to uzyskało swoje rozwinięte sformułowanie w przywołanym już klasycznym studium Stefana Czarnowskiego *Kultura religijna wiejskiego ludu polskiego*. Powstało ono w latach dwudziestych zeszłego stulecia, a obserwacje, na których opierał się autor, pochodziły sprzed I wojny światowej. Były na pewno rzetelne, choć świetny ten uczone nie ustrzegł się utożsamiania ludu i mieszkańców wsi z chłopami, o których pisał rzeczywiście.

Zgodne to z ówczesnymi zwyczajami językowymi, pochodzącymi z wieku dziewiętnastego i utrzymującymi się nadal, mimo widocznej przecież przewagi „ludu miejskiego”. Jeśli w samej warstwie terminologicznej rozprawa Czarnowskiego brzmi dzisiaj anachronicznie, to nie jest nią w rozpoznaniu merytorycznym. Jej autor rozkładając akcenty tak, jak to przejąłem, zastrzegał zarazem, że formacja religijna, którą opisywał, zmieniała się wraz z odchodzeniem ostatnich pokoleń wyrosłych w poddaństwie. Jeżeli bowiem jej członków, w ich religijności, cechował brak samodzielności, indywidualizacji oraz uniwersalizacji, to był to mentalny rewers pańszczyźnianej deprivacji i niewoli. Rozpoznanie to odnosi się do realiów duchowych i materialnych sprzed stulecia, współcześnie powinno odpowiednio zostać rozwinięte i przekształcone. Obcowiałem bowiem przez całe dekady, a nie byłem wyjątkiem, z przedstawicielami tych pokoleń, dla których samodzielne, rodzinne gospodarstwo rolne było właściwym sposobem istnienia. Wszyscy oni byli suwerenni oraz indywidualni w swoich gospodarskich poczynaniach i nie mylili Pana Boga z żadnym poletkiem, także kościelnym. Nie tylko publicyści, powtarzający wciąż wytarte komunały, ale i księża parafialni, domagający się nierzadko poddańczej usługi, są ostatnimi, którzy biorą pod rozwagę tę fundamentalną doprawdy przemianę.

Od stosunku do nieba schodzę na ziemię, ponieważ chłopskie „przywiązanie do ziemi” jest prawie przysłowiowe, przeważnie też zajmuje miejsce pierwszorzędne w interpretacjach etosu chłopskiego. Wiesław Myśliwski poświęca mu wyróżniony fragment swego eseju, kończący się sentencjonalnie: „Tylko ziemia cię nie zdradzi, mawiał mój dziadek”. Przyjmują to oznajmienie bezspornie, jak przyjąłbym je od własnego dziadka, gdybym miał możliwość go usłyszeć. Uważam jednak, że podobnie jak idiomatyczne „przywiązanie

do ziemi” nie jest ono wcale oczywiste, gdyż stanowi esencjonalny skrót złożonego doświadczenia, odstaniający swoje znaczenie dopiero przy bliższym rozbiorze. Prawie to samo przecież daje się powiedzieć o stosunku do ziemi szlachcica ziemianina, ponieważ bez jej posiadania przestawał być sobą i nie mógł realnie istnieć. Szlachta „gołota” to swego rodzaju sprzeczność w bycie i utrwalony pejoratyw naszej historii. Literatura polska od średniowiecznej jeszcze *Satyry na leniwych chłopów* po popularne nadal powieści Marii Rodziewiczówny zapisała całą biblioteką świadectw tego ziemiańskiego sentymentu. *Pan Tadeusz* uznawany za „narodową epopę” jest niewątpliwym jego skarbem.

Pod koniec dziewiętnastego stulecia pojawiają się też „wysadzeni z siodła” – od tytułu głośnej wówczas powieści Antoniego Sygietyńskiego. Chodzi o ziemian pozbawionych ziemi, nie skutkiem carskich represji, lecz dlatego, że po reformach uwłaszczeniowych nie umieli należycie gospodarować. Jest znamienne, że zapisali się oni w literaturze jako „wysadzeni z siodła”, a nie „wyrzuceni z pracy”, choć równoczesna rusyfikacja urzędów i szkół takich też mnożyła. Rzecz w tym, że byli ziemianie nigdy przedtem nie pracowali, a korzystając z darmowej pracy swoich poddanych, pracować się nie nauczyli. I tym właśnie szlacheckie „przywiązanie do ziemi” różniło się od chłopskiego, że nie było związane z pracą własną, indywidualne wyjątki, bliższe naszym czasom, prawidłowości tej nie zmieniają. Bogumił Niechcic z *Nocy i dni* był rządcą, nie ziemianinem, zaś o swoich „ludziach stamtąd” Dąbrowska napisała zwięźle: „nie znali niczego krom pracy”. Dziadek autora *Kresu kultury chłopskiej* nie wyrażał mistycznej więzi z ziemią, lecz więź praktyczną – mówił o ziemi uprawionej przez siebie i przez pokolenia przodków, a nazywanej „ojcowizną”. „Kultura” – pierwotnie, w języku łacińskim, skąd ją przyswoiliśmy – znaczy uprawa; chłopskie „przywiązanie do ziemi” jest realnie przywiązaniem do jej uprawy, czyli tworzonej przez siebie kultury. Czego o tych, którzy na tej ziemi próżniaczyli, powiedzieć się nie da⁵.

Dwa tu konieczne muszą wprowadzić uściślenia, aby uogólnień nadmierne nie rozszerzać. Po pierwsze – klasa chłopska w całych swoich dziejach była wewnętrznie zróżnicowana i podzielona, dalece nie wszyscy jej członkowie posiadali gospodarstwa samodzielne. Po drugie – praca chłopska na roli i w związku z nią przez setki lat pozostawała w swoich formach dość prosta

⁵ Juliusz Mieroszewski wspominał, że dopiero podczas pobytu w majątku stryja odkrył, że są ludzie, którzy nic nie robią przez cały dzień, a nawet przez całe życie. Andrzej Stanisław Kowalczyk, *Wena do polityki. O Giedroyciu i Mieroszewskim*, Warszawa 2014, tom 1, s. 39, przypis 4. Odkrycie z lat dwudziestych ubiegłego wieku, więc sprzed stulecia.

i niezmienna, dopiero w zeszłym wieku ogarnęły ją przemiany, coraz bardziej przyspieszone.

Co do pierwszego – materialne i socjalne zróżnicowanie wewnętrzne chłopów jest prawie tak stare jak wiedza o ich istnieniu i już od średniowiecza znamy kmieci, zagrodników, chałupników i komorników, nie licząc odmian lokalnych oraz wcale licznych później zbiegów, zasilających kozactwo, a nowocześnie – wychodźców, tworzących cudzoziemskie Polonie. Kmiecie, czyli samodzielni gospodarze rolni, nie dominowali dawniej liczbowo wewnątrz całej warstwy, jak stawało się to stopniowo po reformach rolnych, zawsze jednak byli jej wzorcem społecznym i kulturowym. Gospodarze tacy nie należeli do świętych pańskich, bo nie brakowało wśród nich wyzyskiwaczy, bezwzględnych dla „parobków”, ale ich sytuacja materialna i pozycja socjalna były pragnieniem i marzeniem innych członków stanu, własnej roli pozbawionych. Potwierdzają to liczne pamiętniki i utwory literackie: „gdzieby mogła być taka ziemia, co by nie za droga była dla biednych ludzi?”. Stalinowska ideologia „rozkułaczania”, terrorem zaprowadzona zwłaszcza w Ukrainie, potwierdza zbrodniczo tę prawdę, że zasobne, samodzielne, wielofunkcyjne gospodarstwo rolne było ostoją klasy chłopskiej jako takiej. Oparliśmy się tej ideologii i jej praktyce skutecznie, przeto kultura chłopska, w swej antropologicznej jakości, wówczas przetrwała.

Co do drugiego uściślenia – realny i mentalny ciężar wielowiekowego poddaństwa ranił do żywego poczucie wytwórczej, więc i osobistej samodzielności. Jakaś jej resztką jeszcze pozostawała, gdyż to, co dobrze zrobione, mogło napawać dumą, nawet jeśli powstało przymusowo. Ale o świadomej, swobodnej, samodzielnej uprawie roli można mówić dopiero wtedy, gdy chłopska własność ziemi zostaje uprawniona i umocniona. Idzie to w parze z przekształcaniem tradycyjnej zagrody rolnej w warsztat pracy zawodowej oraz jego włączaniem w ponadlokalny rynek towarowo-pięniężny, którym rządzi kalkulacja, a nie przystuga. Jak na ponadtysiącletnie dzieje klasy chłopskiej proces tych przemian jest stosunkowo krótki i dokonuje się w ostatnim stuleciu. Znanicy kładą nacisk na różne rytmy tego procesu w trzech zaborach, najwcześniej, bo w połowie XIX wieku, rozpoczyna się on w Wielkopolsce, pamiętnikarska saga rodu Skorupków daje mu wybitne świadectwo, a galicyjski gospodarz, Wincenty Witos, pozostaje wcieleniem pomnikowym⁶. Choć relikty prostej, ręcznej, samowystarczalnej, włącznie z tkaniem odzienia i pleceniem łapci, gospodarki chłopskiej przetrwały międzywojenną Polskę, to

⁶ Por. Stanisław Siekierski, *Etos chłopski*, wyd. cyt. [Kraków: Zakład Wydawniczy „Galicja” Fundacji Artystycznej ZMW- uzup. red. nauk.], s. 51–57.

możemy przyjąć, że zasadniczo cała jej przestrzeń została włączona w rynek powszechny jeszcze przed pierwszą wielką wojną. Pamiętnikarze chłopscy z zacofanego zaboru rosyjskiego wzmiankują częstokroć odczuwalną poprawę poziomu życia w schyłkowych latach caratu. Za mojej natomiast obecności, w ostatnich minionych dekadach, proces ten został dopełniony – otaczały mnie gospodarstwa wprawdzie dziedziczone, lecz samodzielnie zarządzane przez tych, którzy grunta uprawiali zawodowo, a nie zwyczajowo, czynili to zaś z własnego wyboru, nie z rodowego przymusu. Zasobne, samodzielne, uniwersalne, rodzinne gospodarstwo chłopskie osiągnęło wtedy swoje historyczne apogeum, które jednocześnie stawało się jego k r e s e m, a może i k o ń c e m. Wygląda na to, że zaczątki tego końca rosły w nim wraz z rozkwitem tego typu gospodarstwa.

Lubiłem dawniej wspominać sielskie wakacje u babci, zwłaszcza swego żrebaczka z bystrym ślepkim lub cielaczka o szorstkim ozorku, na co pewien mój studencki kolega, który, w odróżnieniu ode mnie, był prawdziwie gospodarskim synem, parskał gniewnie lub zgrzytał zębami. Reakcja ta wydawała mi się żalosna, związana ze skrywaniem chłopskiego pochodzenia, które nigdy u nas nie uchodziło za zaszczytne, a w latach Polski nazwanej Ludową zostało sponiewierane nieomal doszczętnie. Kiedy jednak poznaliśmy się bliżej, przekonałem się, że kolega niczego nie ukrywa, lecz znając gospodarstwo chłopskie ze zwykłej powszedniości, ma na nie pogląd zupełnie różny od mojego, wysnutego z letniej kanikuły. *Niewolniczy kierat* – powiedział mi w przypiływie szczerości – *obracający nieprzerwanie swoje ofiary, z którego wyrwać się można tylko za cenę śmiertelnej waśni*. Nie pojąłem od razu, co właściwie mówi, choć głos mu drżał, żyły nabrzmiały i z widocznym trudem trzymał ręce przy ciele, bo brał mnie za paniczyka, którego należy sprać. Różnica między nami była prosta i niejako arytmetyczna – podczas gdy ja, w latach licealnych, cały wolny czas, którego miałem pewnie więcej niż kiedykolwiek później, poświęcałem na swobodne czytania i błędzenia, on dokładnie ten sam czas, po powrocie ze szkoły, spędzał na gospodarskich robotach, nadzorowanych przez ojca, nie znającego żadnej folgi. *Nienawidziłem tego wszystkiego* – syczał przez zęby – *nienawidziłem orki, wykopków, sianokosów, żniw, zwózki i wszystkiego innego, od wyrzucania gnoju w krzyżu mnie rąbało i w głowie ćmiło. Żeby się z tamtego kieratu wyrwać, musiałbym zerwać z rodziną, a na to nie miałem siły. Tylko przy pasionce mogłem się uczyć i wtedy się wszystkiego nauczyłem*. Był wyróżniającym się studentem romanistyki, a konkursowy na nią egzamin wstępny zdał śpiewająco. Wyobrażałem sobie, jak na pastwisku jednym okiem łypie na krowy, aby nie weszły w szkodę, a drugie wbija w książkę, z której recytuje

wniebogłoty spżizowe wersy Racine'a: *Je me suis engagé trop avant./ Je vois que la raison cède à la violence*⁷.

Jedną z podstawowych sprzeczności, w jakiej tkwił chłop tradycyjny, mamy tu jak na dłoni – między ubóstwieniem edukacji a jej niweczeniem. Przywiązanie chłopów do oświaty i ich ofiarności na rzecz szkolnictwa przeszły do legendy, potwierdzone były czynnie w skrajnie trudnych warunkach, trwają też współcześnie, gdy trzeba bronić szkół wiejskich. Przy tym zacofanie nasze w tej dziedzinie było równie nieomal przysłowiowe, jak gospodarcze – gdy w krajach rozwiniętych realizowano obowiązek szkolny w XVIII i w początkach XIX wieku, u nas wprowadzano go dopiero w II Rzeczypospolitej, a urzeczywistniony został w Polsce powojennej.

W pamiętnikach chłopskich z zaboru rosyjskiego, gdzie z oświatą, jak prawie ze wszystkim, było najgorzej, czytam o gospodarzach składających się na społeczne, lecz domowe i tajne zatrudnianie nauczyciela; *Siłaczka* Stefana Żeromskiego pozostaje tu postacią symboliczną, a wiejskie zasługi Polskiej Macierzy Szkolnej zapełniają opracowania. Maria Dąbrowska w *Dziennikach* z estymą pisze o „Zarzewiu” i zarzewiakach; samokształceniowa żarliwość „wiciowców” i międzywojenna sieć uniwersytetów ludowych tworzą piękny rozdział historii nowoczesnej kultury polskiej. Dowiadując się o tym i o wszystkim, czego tu nie wymieniam, chciałbym pieśnią wtórować arcypocie – „Serce roście patrzac na te czasy!”.

Przed entuzjazmem tym jednak dwa powstrzymują mnie zastrzeżenia, jedno bardzo przeszłe, drugie nieomal współczesne. Wiele wskazuje na to, że sieć szkółek parafialnych w polskim średniowieczu była o wiele bardziej gęsta, a elementarna edukacja bardziej skuteczna niż kilka wieków później. O jakiej zresztą oświacie ludowej mogła być potem mowa, skoro odrabianie pańszczyzny zajmowało rodzinie cały tydzień? Domniemam zatem, choć, jak wszelkie sądy o psychologii historycznej, wielce to ryzykowne, że chłopci zachowali w swej pamięci zbiorowej wiedzę o niegdysiejszym dostępie do oświaty i gdy tylko można było, czynnie jej przyświadczać. Nowoczesne natomiast wprowadzanie obowiązku szkolnego, z jednej strony konieczne i pożądane, z drugiej – wszczynало wewnętrzny konflikt, którego żywym świadkiem i ofiarą stał się mój kolega. Tradycyjne gospodarstwo chłopskie, rodzinne i uniwersalne, opierało się na nieodzownej obowiązkowej pracy wszystkich członków rodziny, a zarządzane było autorytarnie przez ojca, którego zwykle mitygowała

⁷ „Zbyt jawnie odkryłem me karty / Rozum, statek w szaleństwo się nagle przemienia” – przekład Tadeusza Żeleńskiego (Boya), niestety, co nieuniknione, bezdźwięczny. Racine, *Fedra*, akt drugi, scena druga, początek monologu Hipolita.

matka. Było ono oficjalnie i widocznie patriarchalne, z ukrytym jednak i często skutecznym matriarchatem.

Otóż powszechny obowiązek szkolny wyjmował dzieci, przynajmniej częściowo, z podległości rodzinnym obowiązkom i ograniczał tym samym władzę szefa. W pełnym rozwoju starcie było nieuniknione i typologicznie schematyczne: rozum przeciw tradycji, nauka przeciw mitowi, prawa osoby przeciw więzom wspólnoty, bunt młodości przeciw autorytetowi starości. Wyniki tego starcia były z góry przesądzone, choć spełniały się na wiele jednostkowych sposobów. Mogę powiedzieć, że jestem przez te wyniki teraz otoczony – siedzib nowych i całkiem okazałych widzę ze swego ganku parędziesiąt, około dziesięciu z nich nie ma już zabudowań gospodarczych, dwa tylko mieszczą rolne gospodarstwa rodzinne, ale od dawna nie widziałem, żeby pracowały w nich dzieci. To się na zawsze skończyło.

I nie tylko to. Sprzecznością najbardziej podstawową w istnieniu owego rodzinnego gospodarstwa rolnego była, jak zwykle, sprzeczność ekonomiczna. Rozsadzała ona od wewnątrz ten typ gospodarstwa, jej rozwiązywanie prowadziło nieuchronnie do jego zaniku. Umacnianie się własności ziemi chłopskiej warunkowało przechodzenie od autarkicznego gospodarowania „naturalnego” do towarowej ekonomiki rynkowej, za czym szła zamiana dziedzicznej uprawy zwyczajowej na zawodową pracę warsztatową oraz przeformowanie zagrody pełnej wszelkiej żywności w specjalistyczną fermę hodowlaną. Im bardziej suwerennym władcą swego areалу był świadomy celów gospodarz, tym silniej jego przedsiębiorstwo wprzęgało się w systemowe mechanizmy rynkowo-pieniężne, które swobodę gospodarowania limitowały, a jego samego zniewalały. Wspomnienia chłopskie z lat międzywojennego kryzysu są przepięknie przykładami takich zniewoleń; niestety nikt nie zebrał podobnych z pierwszych lat „transformacji”, choć „pętla kredytowa” zaczęła być w naszym języku bliska pętli wisielczej. Cały, globalny właściwie, splot czynników ekonomiczno-politycznych, który schyłek tej formy gospodarczej powodował, jest zbyt złożony, abym umiał go w pełni przedstawić, ograniczam się więc do tego, co kulturze chłopskiej najbliższe i z nią bezpośrednio związane. Pytanie bowiem – czy to jej *k r e s*, czy też *k o n i e c*? – pozostaje moim pytaniem kierunkowym. Choć może się też okazać, że znaleźliśmy się na dziejowym progu.

Mam jeszcze przed oczami trójpokoleniową przynajmniej rodzinę chłopską, która właśnie zasiadła przy wielkim kuchennym stole po wspólnie sprawniej młócce. Bohaterowie kolejnych przywołanych już powieści Wiesława Myślińskiego żyją ciągle w kręgu takiej rodziny, nawet wtedy, gdy jak narrator *Kamienia na kamieniu* zostają sami na tym świecie. *K r e s* tego modelu

rodziny, jeśli nie jej koniec, nastąpił bowiem niewątpliwie i przemieniła się ona w znaną dobrze z nowoczesnej kultury miejskiej partnerską rodzinę nuklearną. Dziadkowie dzisiaj, jeśli żyją we wspólnym domu, nie są już, szczęśliwie, potrzebni jako pomoc fizyczna, niezastąpieni pozostają natomiast jako regularna renta pieniężna. Żona rolnika powinna posiadać niezależne kwalifikacje zawodowe, jak moja kuzynka, która jest dyplomowaną księgową, a nie być jedynie wsiową gospodynią domową. Co do dzieci natomiast, to najlepiej wyprawić je w świat, ale świat to nie jest dzisiaj pobliskie miasto, jak był nim Kalisz dla „ludzi stamtąd”, Ziemi Zachodnie w latach powojennych, czy Śląsk ze swymi nienasyconymi kopalniami i hutami oraz Wybrzeże z portami i stoczniami przez kilka następných dekad. Dzisiaj jest to cały świat widzialny i wyobrażony, oglądany przez Skype’a i komunikowany na Facebooku, a zapisywany dewizowymi przelewami na rodzinnym koncie. Jeszcze piętnaście lat temu do świata tego woził legendarny autobus linii Siemiatycze–Bruksela, którego pasażerowie, będąc niewolnikami pośredników, nie wiedzieli, co to prawo pracy, kontrakt i ubezpieczenie. Współcześnie masowo latają liniami lotniczymi, organizują się w stowarzyszenia, a ich zasiłki rodzinne stanowią problem dla brytyjskiego budżetu.

Niektórzy zresztą osiedli bliżej, w warszawskim Mordorze, watówkę przywożą w niedzielę od swoich wiejskich rodzin i dlatego mianowano ich pogardliwie „stoikami”. Skrótowo wskazane, przemiany te dotyczą sfery nie mniej ważnej od gospodarczej, gdyż społecznej, czyli tej, w której spełniają się elementarne więzi międzyludzkie, a bez nich żadne środowiska ludzkie istnieć nie mogą, jak kultura nie istnieje bez tych środowisk. Odległy o lata świetlne od swego chłopskiego dzieciństwa, narrator *Traktatu o łuskaniu fasoli* wzruszony wspomina rodzinne zdjęcie: „Stoimy na nim, ojciec, dziadek, babka, Jagoda, Leonka, ja, stryj Jan, jeszcze żył, a na przedzie matka z Zuzią na rękach, jak z dzieckiem”. Otóż takich zdjęć już nie będzie i to nie tylko dlatego, że Zuzia była świnką udomowioną, a nie hodowlaną, lecz przede wszystkim dlatego, że nie ma już takich rodzin. Jeśli w bezpowrotną przeszłość odeszła wielopokoleniowa rodzina chłopska, to k r e s u k u l t u r y c h ł o p s k i e j, w jej własnym mateczniku, niewątpliwie dosięgliśmy.

Ale to nie jest koniec tej kultury, jest to jej dziejowy próg – po jego stanowczym i świadomym przekroczeniu może się ona stać tak powszechną, jak nigdy dotąd nie była. Ponieważ to, co kultura chłopska wnosi do kultury narodowej, jest nieskończenie ważniejsze od tego, co zachowano w regionalnych skansenach. Podkreślam ponownie, że chodzi nam o kulturę w pojęciu antropologicznym, więc o sposób indywidualnego i zbiorowego istnienia, a nie o najbardziej nawet nęcące wzorniki folklorystycznych ozdób. Chodzi więc

o wartości, wartości pierwobytne, które stworzone i rozwijane w długotrwałej, lecz szczególnej sytuacji społecznej, jaką była sytuacja chłopów, zostają ponad tę sytuację wzniesione i osiągają humanistyczną uniwersalność. Szlachta polska, przy całej dwoistości swojej dziejowej roli, wniosła do naszej kultury ogólnej poczucie odpowiedzialności za państwo i jego niepodległość. Nawet jeśli współcześnie wartość tę odziera się ze społecznej treści i łąta symbolicznymi strzępami szlachetczyzny, to i tak pozostaje ona niezbywalną. Nie wiadomo jednak wcale, jak do tak odspołecznionego narodu ma się triumfująca na przełomie dziejów klasa robotnicza, nie mówiąc już o klasie chłopskiej, z której ta pierwsza przeważnie się wywodziła. Pod Belweder ciągle „przybywają ułani pod okienko”, nigdy zaś nie dochodzi do niego „piechota, ta szara piechota”. „Gdy naród do boju...” nie tylko skreślono, ale i zapomniano.

Otóż w kulturze chłopskiej taką wartością pierwobytną była praca, praca jako wszechstronna uprawa roli i całego jej ziemskiego otoczenia. Była to praca nieodrodnie twórcza, ponieważ będąc cyklicznie ponawiana, musiała też być nieustannie odnawiana, jako mężna odpowiedź na wyzwania kapryśnej przyrody i zaskakujących dziejów. Wykonywana ona była na osobistą odpowiedzialność gospodarza kierującego suwerennie ludzką przystanią i jej rodzinnym zespołem, jak conradowski kapitan dowodził statkiem i jego załogą, co nieomylnie wyczuła Maria Dąbrowska. Jest to prawdziwy obraz artystyczny, biegunowo przeciwny utartemu stereotypowi pracy prostej, bezmyślnej i machinalnej, urobionemu przez tych, co pracę tę odwiecznie wyzyskiwali, pracującymi zaś pogardzali.

Nie ma on też nic wspólnego z wizerunkiem „beznadziejnej rutyny życia chłopskiego” propagowanym przez notorycznych, jak Karol Marks, mieszczuchów. Chwila bezstronnego namysłu pokazuje nieodparcie, że każdy pracowity ruch świadomego celu gospodarza wymagał odrębnej, intelektualnej, twórczej oceny i decyzji, aby się powiódł. W skali elitarnej taka suwerenna twórczość osoby pracującej bywa dzisiaj częstym spełnieniem artystów, uczonych, wynalazców. W skali popularnej natomiast pozostaje zbożnym, nieosiągalnym życzeniem, tym bardziej że panujący w licznych Mordorach automatyzm czynności porównuje się zasadnie do pańszczyźnianego przymusu. Dlatego właśnie praca swobodnie obrana, twórczo inicjowana, odpowiedzialnie dokonywana, jaką była praca włodarza-suwerena, winna stać się wartością powszechną, na którą wszyscy będziemy zorientowani. Niczego lepszego jak takiej pracy nie można uczyć na żadnej uczelni.

Z tak pojmowaną pracą nierozłącznie związana jest współpraca, dawniej obecna we wszystkich podstawowych czynnościach rolniczych, dziś okiem

zewnątrznym często niewidzialna, lecz odczuwalna emocjonalnie i doświadczana efektywnie, jako owo niezawodne wspomaganie się w potrzebie. Choć nie chłop przecież i raczej gość w gromadzie niż jej członek, miałem możliwość nie tylko odślaniać ukryte wiązadła tej współpracy, ale i korzystać z niej praktycznie. Znowuż nie ma to nic wspólnego ze złośliwym stereotypem chłopskiego sobkostwa i chciwości; urobiony on został bowiem, podobnie jak zbitka pracy bezmyślnej i odruchowej, z mentalnego śmietniska odwiecznej niewoli, nędzy i głodu ziemi. Przy czym, co bardzo ważne kulturowo, współpraca ta ma dwie zasadnicze społeczne formy – pierwsza, pierwotna, oparta jest na elementarnych więziach międzyludzkich, owej sieci kuzynów i szwagrów, parokroć dość żartobliwie wymienianej. Druga forma – nowoczesna oraz instytucjonalna – wyraża się w działających na wsi stowarzyszeniach społecznych. Wspomniane wcześniej hrubieszowskie Rolnicze Towarzystwo Wspólnego Ratowania się w Nieszczęściach, założone przez Stanisława Staszica w roku 1816, jest zapewne pierwszym takim stowarzyszeniem społecznym w naszych dziejach. Chronologicznie wyprzedza je warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które formalnie powstało w roku 1800. Towarzystw naukowych mamy dzisiaj wiele, stowarzyszeń społecznych, nazywanych prawie negatywnie „organizacjami pozarządowymi” – mnogość, ale najliczniejszym spośród nich i najbardziej sprawnym pozostają z górą stuletnie Ochotnicze Straże Pożarne, rozprzestrzenione głównie na wsi. Mam honor być towarzyszem jednej z nich.

Parafrazując powiedzonko dziadka Wiesława Myśliwskiego, piszę na koniec: tak, gromada wiejska nigdy cię nie zawiedzie. Świadomie piszę – wiejska, a nie chłopska, gdyż dzisiaj nie jest już ona chłopska, ale tę wartość kultury chłopskiej, którą jest bezinteresowna pomoc w potrzebie, nadal kultuwuje. Poczucie wielkiej wartości dobra wspólnego jest wpisane w jej istnienie, a współczesna klasa polityczna ciągle jeszcze nie odrobiła tej lekcji, jaką kultura chłopska jej zadała. Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy Jurka Owsiaka czyni tę wartość prawie powszechną, a ci, którzy usiłują ją zniweczyć, powinni rozpoznać społeczne korzenie swego politycznego egoizmu, bo na pewno nie są one chłopskie. Czy to są wszystkie wartości, jakie chłop polski wnosi do naszej kultury narodowej wraz ze swoim przeistoczeniem w społeczeństwo ogólne? Nie, to są tylko te, które uznałem za pierwobytnie, ale całą ich konstelację musimy dopiero wydobyć, uświadomić i upowszechnić. Co, mam nadzieję, uczynimy w debacie, która pozostaje naszym zadaniem. A będzie to debata o kulturze polskiej, a nie tylko o kulturze chłopskiej. I to na jej progu wygłaszam ten toast.